

MÓJ HORN

Wiele lat żegnałam ich, gdy wyptywali na morza i oceany, niosąc ze sobą marzenia o przekraczaniu kolejnych granic i niepokój swoich najbliższych, I witałam, gdy wracali w świetle kamer i wiwatujących tłumów - kapitanowie z pierwszych stron gazet i okładek książek, samotnicy opływający świat, polarnicy z Arktyki i Antarktyki, zdobywcy Hornu.

Mira Urbaniak

W dziennikarskiej kolejce po wywiad przeżywałam jeszcze raz ich przygody, a rozmowy na pokładach jachtów na długo odbierały mi spokój.

Z Gdyni, czy Gdańska nawet początkujący żeglarz wyptywa na morze, dlatego pewnie marzenia o rejsach od razu dotyczą oceanów. Ale najpierw trzeba stanąć na pokładzie.

Zgodnie z dobrą marynarską zasadą na *DAR POMORZA* „baby” nie miały wstępu.

Ale *DAR POMORZA* zakończył morską wachtę i zacumował w Gdyni, a jego zasadniczy komendant został kustoszem statku - muzeum. Obok stanęła nowa fregata Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni; *DAR MŁO-DZIEŻY*- na który zaokrętowałam używając dziennikarskiego oraz „babskiego” sposobu i wyptynęłam.

Żaglowce. Trzeba im oddać ręce i duszę. Widziałam jak to się działo zarówno z dojrzałymi, jak i początkującymi marynarzami, żeglarzami. Wchodzili obojętni na pokład, a potem z dnia na dzień przejmowali rytm statku, wtapiali

się w jego życie, aż po radość i dumę, kiedy tysiące metrów kwadratowych żagla w jednej chwili wyrastało na mastszach i rejach. Widziałam też, jak inni wchodzili na pokład, a nie chcąc zrozumieć i przyjąć wymagań żaglowca, nie wiedząc, że oszukują także siebie, kończyli rejs obrażeni na statek i morze. Ta możliwość obserwacji tworzenia się społeczności na *DARZE*, czy później w rejsach na *ORP ISKRA* była cenna dla reporterskiej pracy, ale nie pozwalała dotknąć naprawdę istoty i trudu żeglowania. Ale

przecież morza nie wybrałam na chwilę

Pomógł *ZAWISZA CZARNY*, na którym ostatni etap rejsu dookoła świata odbyłam najpierw jako załogant, a później jako radiowiec, I tak już w naszym związku z *ZAWISZĄ* pozostało czy był to Bałtyk czy Wielkie Jeziora Amerykańskie.

ZAWISZA CZARNY to trudna miłość. Zbudowany na kadłubie statku



Fot. arch. Mira Urbaniak

rybackiego każdą falę bierze na pokład, przekonany, że załoga i tak sobie poradzi, bo nie ma innego wyboru. Cyrkowej sprawności nabiera się podczas gotowania w kambuzie przy kilkudziesięciu stopniach przechyłu, a przeniesienie posiłku do kubryku, czy nocne wyjście do toalety są „walką o życie”, zwłaszcza jeżeli temperatury oscylują wokół zera.

Podobnych atrakcji dostarcza kubryk, w którym się śpi, je, uprawia życie towarzyskie, ale który po paru tygodniach suszenia mokrych po wachcie ubrań i kaloszy zaczyna pachnieć inaczej. W tym wszystkim moment zejścia z wachty, zdejmowania sztormiaka i nurkowania w koi smakuje jak „samo życie”. Ale nie słyszałam, aby ktokolwiek został zmuszony do pływania na *ZAWISZY* „Zawiszacy”-tak mówią o sobie po rejsach, robią to wyłącznie z własnej woli.

Tak też zjawili się w Ushuaia - na końcu Ziemi Ognistej, czyli na końcu świata. Skusił ich Horn - odległy



Za pójście drogą Własnej Legedy warto zapłacić każdą cenę

zaledwie o kilkaset mil. A okrążenie Przylądka - realizację marzenia i nobilitację dla każdego żeglarza - zapewnić miał właśnie **ZAWISZA CZARNY**. W porcie Ushuaia stał przytulony do burty **FRYDERYKA CHOPINA**, jego półrocznego domu w rejsie „Szkoly pod Żaglami” na Karaiby, z którym odbył już kawałek wspólnej podróży wokół Ameryki Południowej i Hornu.

Hasło „Horn” zgromadziło nietypową jak na **ZAWISZĘ** załogę. Średnia wieku około 40 lat, żeglarze z różnym doświadczeniem morskim i śródlądowym, szefowie i właściciele różnych firm, były minister, pracownicy naukowcy - bo też realizacja marzeń ma swój niemały wymiar finansowy. Ale morze tak naprawdę w nosie ma kryteria, które stanowią o pozycji na łodzi i tylko czeka, aby przeprowadzić swoją weryfikację. A nawet żeglarzom zdarza się mieszać te dwa nieprzenikalne światy.

Wypuływamy z Ushuaia 31 stycznia, w niedzielę, by kanałami pa-

tagońskimi wyjść na ocean. Do Hornu zaledwie 300 mil, ale spotkanie z Marynarką Wojenną Chile przedłuży naszą drogę. Ocean Spokojny wita nas rozkołysem, a **ZAWISZA CZARNY** poddaje się mu z upodobaniem, sprawdzając odporność swojej załogi. Załoga stara się jak może

pokonywać słabość

przewieszona przez reling lub złożona w koi. Jednak po jakimś czasie wszyscy wracają do pionu i na wachtach rozpoczyna się nerwowe oglądanie mapy.

2 lutego moja wachta ma kambez. Szybko klarujemy wszystko po obiedzie, bo już od paru godzin widać zarys Przylądka.

O 15.20 zbiórka na rufie - 3° B, postawione klwiry i sztaksle, przygotowane aparaty fotograficzne i kamery, ale nikt ze sobą nie rozmawia. To długie i dziwne oczekiwanie. 15.27 jesteśmy na trawersie Hornu, mijamy go ze sło-

wami kapitana Waldemara Mieczkowskiego: *To nie my opłynęliśmy Horn, to Horn pozwól się nam opłynąć. A nie wszystkim byto to dane. W wody oceanu rzucamy buteleczkę z kawałkiem bandery z jachtu braci Piotra i Mieczysława Ejsmontów, którzy trzydzieści lat temu wyruszyli w stronę Hornu i zaginęli bez wieści, przekazaną przez kpt. Kazimierza Grenczaka. Być może dołączy do tych co zostali na tym największym na świecie cmentarzysku statków i ludzi.*

Horn nie pokazał nam się w całej okazałości. Na fotografiach widać tylko fragment groźnej skały. Jej szczyt tonie w chmurach. A jak zostanie w ludziach, którzy świat cały przelecieli by spotkać się... z czym?, Ze swoim marzeniem, ze snobizmem bycia kaphornowcem? A może najważniejsza okaże się determinacja w dążeniu do Hornu? Każdy z nas ma własną odpowiedź.

Ja wiem, że za pójście drogą Własnej Legedy warto zapłacić każdą cenę.